

UCIĄĆ GŁOWĘ POLSCE

Z ANDRZEJEM NOWAKIEM I RYSZARDEM TERLECKIM
ROZMAWIA BARBARA POLAK

B.P. – Kiedyś państwem rządził król, a chronili je rycerze. Struktura społeczna była nieskomplikowana: władca wraz z najbliższym otoczeniem i cała reszta. W I Rzeczypospolitej króla wspomagała szlachta, która jako naród polityczny miała wielki wpływ na kształt ustroju i losy państwa. W praktyce do XIX w. w Polsce nie funkcjonowało takie pojęcie jak elita. Dopiero gdy nastąpiło zróżnicowanie społeczne, w obrębie jego poszczególnych warstw zaczęły pojawiać się osoby szczególnie predestynowane – z racji choćby wykształcenia – do tego, by reprezentować swoje środowisko i tym samym tworzyć jego elitę. Nas interesuje ta, która budowała II RP.

A.N. – Wykształcanie się elit jest związane z procesem demokratyzacji. U początków państwa polskiego uniemożliwiały to nie tylko głębokie podziały stanowe. Ogromna większość mieszkańców państwa polskiego, czyli chłopstwo – mówimy tu o dziewięćdziesięciu paru procentach społeczeństwa – nie miała świadomości polskości i świadomości państwowej. Wraz z procesem kształtowania się nowoczesnego narodu – co na terenie Polski zaczęło się stosunkowo wcześniej (na tle Europy Środkowo-Wschodniej), bo w drugiej połowie XVIII w. – czyli przełamywania barier stanowych i tworzenia nadrzędnej wspólnoty narodowej, pojawiła się kwestia, kto ma przewodzić tej ponadstanowej wspólnoty. Aspirowała ona przecież do tego, by być wspólnotą ludzi równych, przynajmniej jako adresatów pewnej misji, wezwania do służby wspólnej sprawie polskości i korzystania ze wspólnoty politycznej Polaków. I w tonie tej grupy teoretycznie mógł już pojawić się ktoś z nizin społecznych. Pod koniec XVIII w. dyskutowano o tym, czy Bartos – który za swoje bohaterstwo pod Raclawicami otrzymał nazwisko Głowacki i później bohatersko zginął – stał się członkiem polskiej elity; a Szczęśny Potocki – który po ostatnim rozbiórze Polski mówił, że trzeba wybrać narodowość i wybrać dla siebie narodowość rosyjską – czy on pozostaje w kręgu polskiej elity. Bardzo istotne znaczenie dla kwestii tworzenia się elity polskiej miała utrata niepodległości i trwanie w polskości bez suwerennego państwa.

B.P. – Na trwanie w polskości, mimo braku państwa, istotny wpływ mieli artyści.

A.N. – Romantyzm miał ogromny wpływ na tworzenie się polskiej elity i uświadomienie konieczności podtrzymywania więzi narodu w sytuacji braku państwa. Budował tę więź za pomocą wzniosłej, porywającej idei. Zadanie to wykonał – jeśli tak można powiedzieć – w sposób niezwykle skuteczny, bo przecież wówczas do elity polskiej zostali przyciągnięci ludzie spoza etnicznego kręgu polskiego. Ten fenomen później nigdy już się w tej skali nie powtórzył. Polska nie miała własnego państwa, a Żydzi, Niemcy, Czesi, Rosjanie, Francuzi, nawet Anglicy garnęli się do polskości. Imponowało im i przyciągało ich to poczucie patosu, misji polskiej, wielkości jej zadania, romantyzm.

Zwracam uwagę na znaczenie wielkiej idei romantycznej, gdyż wkrótce pojawiło się kolejne napięcie w budowaniu polskich elit. Było ono związane – po powstaniowych klęskach – z kryzysem romantycznej wizji „królów-duchów” (że użyję sformułowania Juliusza Słowackiego) i służących im rycerzy. Po Powstaniu Styczniowym pojawiło się poczucie realnej klęski etosu romantycznego. Jedną z odpowiedzi na to stała się praca organiczna. Jak wyróżnisz się w pracy, zrobisz coś konkretnego z myślą o Polsce – jako adwokat, nauczyciel, działacz pierwszych polskich partii, docierając na przykład do chłopów ze swoim przestaniem – to będziesz przynależał do elity: elity realnej polskiej misji. To była jedna droga.

Druga była inna i wiązała się z narastającym kompleksem bycia gorszym – nie udało nam się, wielki duch romantyczny, porywający przez kilkadziesiąt lat, zbiera tylko ofiary, przynosi klęski. Inni są lepsi i powinniśmy modernizować się i naśladować ich – Niemców, Francuzów, a nawet Rosjan, bo potrafili zbudować silne państwo. Ta postawa naśladowcza dla ludzi, którzy aspirowali do elity, miała jednak znacznie mniej *seksapilu*. Można było wybierać: skoro mam być dobrym urzędnikiem na wzór austriacki czy pruski, no to gdzie jest ta granica, która oddzieli mnie od austriackości czy pruskości? Być może, jest to wyraz mojego uprzedzenia, ale odpowiedzialnością za wpływ na formowanie się w końcu XIX w. tego naśladowczego i pełnego krytycyzmu wobec polskości nowego wzoru dla

elit obciążam także w niemałym stopniu krakowską szkołę historyczną. Ostabiła ona atrakcyjność polskości w elitach, nie zmniejszała natomiast poczucia elitaryzmu, bo w jej kręgu było ono bardzo silne – „my (krakowscy profesorowie) jesteśmy lepsi, jesteśmy przewodnikami, wiemy, że źródło modernizacji jest we Francji, w Niemczech, w Europie Zachodniej, ale motłoch nie nadąga, z Polakami ciężko cokolwiek zrobić, z tym zacofanym i skoftunionym polskim tłumem”. Wcześniej, już w drugiej połowie XVIII w., takie tradycje formował krąg stanisławowskiiego „Monitora”.

R.T. – W pierwszym dziesięcioleciu XX w. wśród polskich elit panowało przekonanie, że przynależność do zaborczych państw jest sytuacją trwałą, a wszystko, co można uzyskać, to lepsza pozycja polityczna i ekonomiczna. Stąd pomysły uzyskania cywilizacyjnej przewagi ziem polskich w ramach państwa carów czy nadzieje na monarchię auto-węgiersko-polską na terenie Galicji. Elity nie dały się wynarodowić, ale wielu wykształconych Polaków w kwestiach prawnych czy finansowych sprawniej posługiwało się językiem niemieckim czy rosyjskim niż polskim. Wspólna ojczyzna pozostawała historią i to ona sprawiała, że zapalczywa młodzież opuszczała rosyjskie szkoły w Kongresówce czy zapisywała się do patriotycznych stowarzyszeń w Galicji. Atmosfera zaczęła się zmieniać dopiero wraz ze wzrostem międzynarodowego napięcia, ale i wtedy myślano raczej o zjednoczeniu ziem polskich pod berłem jednym czy drugim niż o odzyskaniu własnego państwa. Tych nielicznych, którzy znów – jak w roku 1863 – gotowi byli sięgać po broń, uważano za politycznych czerpał oszołomów, niebezpiecznych dla przyszłości „Kraju”.

B.P. – Nie z takiej postawy czerpał nurt niepodległościowy.

A.N. – Odrodzenie ducha romantycznego dokonano się w kręgu Józefa Piłsudskiego i tego nurtu niepodległościowego, którego on stał się symbolem przed I wojną światową. „Odnowienie” romantyzmu poddane pozytywistycznej krytyce ze strony realistów miało swojego literackiego proroka, czyli Stanisława Wyspiańskiego. Ten rodzaj romantyzmu był bogatszy o refleksję nad polską elitą i jej zadaniami. I chociaż Wyspiański nie był w jednym obozie z Piłsudskim, to łączyło ich poszukiwanie wzniosłej, wielkiej idei dla Polski, która na nowo wciągnęłaby polską elitę do jakiegoś niezwykle ambitnego zadania. Roman Dmowski wyśmiewał i krytykował tradycję romantyczną. Jeszcze pod zaborami stawiał Polakom konkretne zadanie – bardziej pracę niż walkę. Ale przez to napięcie i rywalizację z konkurencyjną ideą Piłsudskiego także musiał rysować wizję wielkiej Polski. Chociaż tę wielkość widział inaczej, również dla niego była ona oczywistym zadaniem. Obydwa te programy de facto wspierały wizję polskości jako czegoś bardzo ważnego, mobilizującego najwyższe uczucia.

W II Rzeczypospolitej mamy jakby drugą odstonę tej kwestii. Jest suwerenne państwo i „radość z odzyskanego śmietnika”, jak w *Generale Barczu* podsumował to Juliusz Kaden-Bandrowski. Odbywała się konfrontacja z rzeczywistością owego wzniosłego ideału, który przyciągał do polskości ludzi najbardziej ambitnych. I pojawiły się konkretne pytania o jakość elit.

R.T. – Wojna podzieliła elity. Po jej zakończeniu okazało się, że rację mieli ci, którym wcześniej racji odmawiano. Ale władzę objęli politycy, którzy wcześniej stawiali na współpracę z zaborcami. Ten fakt wywołał wielką frustrację w obozie Piłsudskiego. Stąd zamach majowy. Starta się stara elita, uformowana pod zaborami, z nową, wywodzącą się z legionowych okopów. To tak jakby „Solidarność” odebrała władzę postkomunistom np. w 1994 r. Tylko że działacze „Solidarności” nie byli w okopach i nie łączyła ich wspólnie przelana krew. A część jej elit gotowa była dzielić się władzą ze stronnikami zaborcy, czyli Sowieci.

B.P. – Istotnie, to zupełnie nowa sytuacja – trwanie w polskości pod zaborami zamienić na konkretne i efektywne działania w niepodległym państwie.

A.N. – Bywało z tym różnie i dlatego też pojawiały się krytyczne oceny elit II RP. Na elicie piłsudczykowskiej, która de facto wygrała II Rzeczpospolitą, ciążyła wielka odpowiedzialność. I okazało się, że nie wszyscy z tych wspaniałych legionistów – którzy o Polskę walczyli jako ochotnicy, byli żywymi legendami, a w II RP znaleźli się na różnych odpowiedzialnych stanowiskach – zdali egzamin z tej odpowiedzialności. Pod koniec dwudziestolecia było widać, że wiele z tych osób na świeczniku uległo zepsuciu, korupcji spowodowanej władzą. Nie oparli się pokusie władzy niekontrolowanej, która została im udzielona jako tej elicie namaszczonej przez zasługi. Myślę, że tamta elita sanacyjna daje się pod względem tej postawy porównywać z dzisiejszą, postpeerelowsko-postsolidarnościową elitą III RP, tak pewną właśnie swej elitarności. To, co różniło tamtą elitę, z II RP, w stosunku do dzisiejszej,

to przekonanie, że Polska zawdzięcza niepodległość, swoją pozycję – sobie samej, swojej walce; nie było w tamtej elicie kompleksu „gorszości” Polski.

Konsekwencją takiego nastawienia elity II RP była określona edukacja tych pokoleń, które urodziły się w dwudziestoleciu lub w nim się formowały. Wychowanie młodzieży było niezwykle nasyczone wzorcem romantycznej albo neoromantycznej wizji polskośći jako wielkiego, ambitnego, wspaniałego zadania. Oczywiście, gdzieś był Gombrowicz, różne rodzaje krytyki wobec tego stylu „akademii ku czci Marszałka”, ale znaczna część generacji kształtowanej w II RP była wychowana w kulcie państwa, służby państwu, polskości i akceptowała ten kult jako własny. Edukacja formowała młode pokolenie w atmosferze największego szacunku dla dziewiętnastowiecznych walk o niepodległość, inspirujących niezgodę na zniewolenie, gdyby taka groźba znów się pojawiła. Tak ukształtowany był przez matkę sam Piłsudski; on w ten wzorzec nie tylko wierzył, ale i chciał go propagować. Dla niego odniesieniem był Słowacki z jego wizją „królów-duchów”.

To bardzo elitarystyczna wizja. Był to wzorzec wspaniałej elity, która poprowadzi za sobą naród. Piłsudski z gruntu był elitarystą, gardził tłumem. Polakami jako wspólnotą etniczną także w znacznym stopniu gardził, bo uważał, że jest w nas mnóstwo złych cech, cech małości. Również Dmowski był krytyczny w ocenie Polaków, u Piłsudskiego jednak dużo silniejszy był ten aspekt elitaryzmu – tylko ludzie zasłużeni przez swoje bezinteresowne poświęcenie w walce w wolnym państwie powinni zajmować wyróżnione miejsca. Wielokrotnie powtarzał, że nic nie potrafi zrobić z tym, że w życiu publicznym II RP „szuje i kanalie” mają równy głos z bohaterami. A często bohaterowie z okresu walki o niepodległość Polski, gdy dobrnęli do swoich stanowisk, okazywali się „szujami i kanalami”. Tego Piłsudski nie brał i nie chciał brać pod uwagę. Dla niego ten, kto okazał się bohaterem w jego legionach, na zawsze miał prawo czuć się członkiem elity za swoje historyczne zasługi, świecić przykładem i czuć wyższość wobec mas. Ten wzorzec się o tyle nie sprawdzał, że chronił ludzi, którzy na to już z czasem nie zasługiwali.

B.P. – Sądzi pan, że gdyby Dmowski i jego stronnictwo było zwycięskie i budowało Polskę międzywojenną, sytuacja wyglądałaby inaczej?

A.N. – Wyglądałaby inaczej, choć wcale nie wiem, czy lepiej. Bo ten stan rzeczy, o którym mówiłem, miał zarówno negatywne, jak i pozytywne konsekwencje. O negatywnych już mówiłem, stroną pozytywną było eksponowanie wciąż tego bardzo wzniosłego ideału, przemawiającego do młodych ludzi wychowywanych w szkołach II RP, stawiającego polskość właśnie na poziomie bohaterskim. Chciałbym to podkreślić, że najwspanialszą elitą II RP byli ludzie wychowani przez jej szkoły. Nie ci starzy, którzy rządząli II RP, lecz młodzi, którzy zostali w niej wychowani w duchu bohaterskiego mitu (bo w dużym stopniu był to mit, którego bohaterowie często okazywali się go niegodni, chociaż oczywiście nie zawsze).

Uwierzywszy w ten, młodzi ludzie wychowani w II RP, w czasie II wojny światowej okazali się w ogromnej części tego wielkiego polskiego mitu godni. Pokazali to w kampanii wrześniowej, w Armii Krajowej itd. Przyjęty przez II RP pod wpływem zwycięstwa Piłsudskiego wzorzec wychowania wytworzył bohaterską elitę, porwaną w swoich szkołach wizją wielkiej romantycznej Polski. Gdyby zaś rządził Dmowski i jego wizja polskości, to zapewne sposób kontroli nad elitami wytonionymi w trakcie trwania niepodległego państwa byłby bardziej demokratyczny (Dmowski przejawiał dużo więcej demokratyzmu i mniej elitaryzmu niż Piłsudski). Ludzie byłiby zapewne rozliczani za konkretną pracę, którą wykonali dla II RP, i z tego wynikałaby ocena, czy się sprawdzili, czy nie. Poprzeczka ideowa dla elit byłaby zatem zawieszona niżej, przez to stałaby się mniej pociągająca. Najważniejsza byłaby praca dla państwa, które powinno być skuteczne w gospodarczej i politycznej rywalizacji z innymi, ale które nie starałoby się stanowić w kwestiach ideowych wyjątkowego przykładu dla innych narodów. Byłaby to zatem elita wychowana przede wszystkim w duchu pracy organicznej, chociaż z pewnością również patriotyczna, tyle że w innej formule.

Użyję prostego przykładu, przywołam postać papieża Jana Pawła II, Karola Wojtyłę. W jego postudze Kościołowi dostrzegam inspirację wizji romantycznej Piłsudskiego, Słowackiego, *Króla-Ducha*. Był wychowany w szkole II RP, w której uczono zarówno tragików greckich, jak i wystawiano *Pana Tadeusza*, *Dziady*. Przypominam sobie sceny z konkretnych dramatów, które Karol Wojtyła przeżywał jako aktor jeszcze w szkole, w gimnazjum Wadowity, a potem już w podziemnym Teatrze Rapsodycznym. Wojtyła jest jednym z najlepszych przykładów realizacji ideału elity II RP i wychowanej w II RP – z tą wizją wielkiej Polski, przeżywanej bardzo głęboko. Wyniósł ze szkoły romantyczne przekonanie, że jest możliwe,

by Polak stanął na czele świata, na czele Kościoła powszechnego i duchowo prowadził go ku nowej, lepszej epoce. Dlaczego nie? Czas już najwyższy. Nie sądzę, żeby to się wiązało z przeżyciami natury tylko teologicznej. Gdyby to była wizja narodowo-demokratyczna, to – jak sądzę – ta inspiracja nie byłaby tak silna. Narodowa demokracja miała jakby mniej podniosły ideał wychowawczy. Być może, jej elita byłaby bardziej „porządna” w życiu codziennym, bo na to Dmowski kładł wielki nacisk. Ale czy na tyle trafiałaby do wyobraźni ludzi, żeby porywać ich do tak wielkiego poświęcenia w obronie polskości?

B.P. – Jaką rolę w budowaniu wzorca polskości miał w międzywojniu Kościół katolicki?

A.N. – Relacje Kościoła z elitami II RP były dość skomplikowane. Po pierwsze, przeważająca część hierarchii sympatyzowała raczej z obozem narodowej demokracji, z powodów, w największym skrócie, światopoglądowych. Piłsudscy byli symbolem liberalizmu, flirtu z socjalizmem, czasem nawet otwartego bezbożnictwa, np. w osobie Kostka Biernackiego, który trochę pozował na satanistę. Z punktu widzenia katolickiej ortodoksji dla Kościoła to był kłopot, żeby błogosławić całemu obozowi piłsudczykowskiemu.

R.T. – Trzeba pamiętać, że Kościół katolicki we wszystkich zaborach stał po stronie utrzymania polskiej tożsamości. Współpracował z zaborczą władzą, czasem ta współpraca szła za daleko, ale równocześnie to był polski Kościół, w którym nie mówiło się i nie modliło po niemiecku czy rosyjsku. A po odzyskaniu polskiego państwa Kościół bardzo mocno stał po stronie niepodległości, co było oczywiste po doświadczeniach roku 1920. W ogromnym dziele wychowania młodych Polaków na patriotów wielką rolę odegrał Kościół, tym bardziej że znaczną część duchowieństwa w sposób naturalny – z racji wykształcenia i społecznej pozycji – zaliczano do elity i rzeczywiście nią była.

B.P. – A nie stanowiło kłopotu to, że sam Dmowski daleki był od wzoru przyzwoitego katolika?

A.N. – Ale jednak on nie prowokował Kościoła. Tak wybitne postaci, jak abp Adam Sapieha czy bp Józef Teodorowicz, obok prymasa Augusta Hlonda dwaj najwybitniejsi hierarchowie okresu II Rzeczypospolitej, na pewno entuzjastami Piłsudskiego i jego obozu nie byli, to i tak powiedziane jest delikatnie. Teodorowicz był związany wprost z obozem narodowym i zasiadał w jego ławach w Sejmie, będąc zresztą wspaniałym, wielkim mówcą. Zmieniało czy łagodziło stan napięcia między Kościołem a obozem Piłsudskiego to, że na Stolicy Piotrowej zasiadł Achilles Ratti, Pius XI. On poznał Piłsudskiego, polubił i z daleka błogosławił Polsce Piłsudskiego (można to tak uprościć, ale i tak to było odbierane – że nie ma napięcia w stosunkach Piłsudski-Watykan w tym czasie). Oni spotkali się w latach 1919–1920. Arcybiskup Ratti był w tych dramatycznych dla Polski okolicznościach nuncjuszem i doceniał Polskę jako przedmurze antykomunistyczne, niezwykle ważne na chrześcijańskiej mapie Europy. Piłsudski tę misję doskonale wzmacniał swoją osobistą rolą i wyobrażeniem miejsca Polski na wschodniej rubieży *latinitas*. Dla wielu księży, którzy stanowili naturalną część elit lokalnych, oczywista była relacja między katolicyzmem a polskością. To powodowało, że obraz relacji między Kościołem a wizją II RP reprezentowaną przez Piłsudskiego był dość skomplikowany, niepozbawiony wewnętrznych napięć. Z biegiem czasu, gdy pojawiała się generacja duchownych wychowanych przez szkoły II RP, następowało pewne zbliżenie w wizji polskości.

B.P. – Efektem patriotycznego wychowania w polskich szkołach, a także w organizacjach młodzieżowych, takich jak harcerstwo, „Sokół” czy „Strzelec”, była postawa młodzieży w okresie II wojny światowej, zaangażowanie w konspirację i walkę w Powstaniu Warszawskim. Była to młoda elita II RP.

A.N. – Należy pamiętać, że u początków II RP łączyły dość istotne napięcia między różnymi wyobrażeniami tego, jak Polska ma wyglądać. Przecież tworzyli ją ludzie pochodzący z różnych zaborów, mający różne wzorce służby państwowej. Te dwadzieścia lat wolnej Polski, na które najsilniejsze piętno w sferze państwowotwórczej odcisnął Piłsudski, to był swego rodzaju tygiel, w którym jakby wytapiał się nowy, specyficzny typ wychowania nie tylko nowych pokoleń Polaków, czyli dzieci szkolnych. Następowało także wewnętrzne zbliżenie w poglądach na polskości wśród ludzi średniego pokolenia, w tym właśnie wielu księży, wojskowych. Utrwaliło się przekonanie, że polskości jest czymś bardzo ważnym, czemu trzeba służyć, a jednocześnie czymś bardzo kruchym, co może będzie wymagało znów poświęcenia i znów walki. Takie przekonanie wynikało z realistycznej oceny sytuacji międzynarodowej, geopolityki. Wzorce, jakie dawała szkoła, nie były abstrakcyjne i wydumane; były zobowiązujące, szczególnie po

doświadczeniach wojny z bolszewikami. W 1939 r. to nie była prehistoria. I to właśnie wtedy swój egzamin z patriotyzmu zdawali chłopscy synowie obok ochotników z Legii Akademickiej, narodowcy i piłsudczycy. Pisał też o tym komunizujący Władysław Broniewski w wierszu *Bagnet na broń*.

W 1920 r. oczywiście były dezercje i to całkiem liczne, ale w porównaniu ze wszystkimi naszymi wschodnimi sąsiadami, Ukraińcami, Białorusinami, z Rosją, to była pierwsza wspólnota, która wytworzyła się ponad podziałami klasowymi, pierwsza tego rodzaju wspólnota na drodze bolszewizmu. Dla Polaków było to bardzo silne i jednoczące doświadczenie. Bo wcześniej, w czasie I wojny światowej, kiedy ponad 2 mln mieszkańców ziem polskich stanęło pod bronią, to jednak oni strzelali nawzajem do siebie, i ginęli w walce nie o swoją sprawę. W 1920 r. oczywiście były spory, czy Józef Haller jest ważniejszy, czy Tadeusz Rozwadowski, czy Piłsudski, ale nadrzędna była służba Polsce. W archiwum Józefa Mackiewicza w Raperswil natrafiłem na korespondencję Jędrzeja Giertycha z Mackiewiczem, w której obaj (pamiętajmy o tej naprawdę ogromnej przepaści między nimi – skrajnym nacjonalistą i skrajnym antynacjonalistą) wspominają z wielkim sentymentem i szacunkiem służbę w 1920 r., jeden był kawalerzystą, drugi piechocińcem, obaj służyli Polsce. Dlatego to było ważne dla wszystkich (z wyłączeniem komunistów) doświadczenie, swoisty papierek lakmusowy – w momencie zagrożenia Polski endek mógł stanąć obok piłsudczyka (choć na co dzień się nienawidzili) po jednej stronie barykady. Po drugiej stronie stali komuniści – i to zawsze odróżniało tę formację od pozostałych. Wszyscy ci, którzy wspólnie stali przeciw bolszewikom, mogli aspirować do elity polskość.

B.P. – Sowieci nie zapomnieli roku 1920. Od 17 września 1939 r. z bezprzykładną nienawiścią przystąpili do rewanzu, którego obiektem w szczególny sposób stały się polskie elity.

A.N. – Warto przypomnieć cztery konferencje gestapo-NKWD (wiemy o nich dzięki odkrytym po upadku Związku Sowieckiego archiwaliom, a także Edvinsowi Snore i jego filmowi *Soviet Story*), które odbyły się między późną jesienią 1939 r. a wczesną wiosną 1940 r. w Brześciu nad Bugiem, Przemyśle, Zakopanem i Krakowie. Specjaliści obu totalitarnych policji politycznych naradzali się, jak eliminować polskie elity. Efektem tych narad były przeprowadzone przez Niemców akcje eksterminacyjne (w tym akcja AB), w których zabito bez mała 50 tys. polskich inteligentów i działaczy społecznych, i „operacja katyńska” przeprowadzona przez Sowieców, którzy zamordowali w niej niemal 23 tys. Polaków. Obydwaj okupanci inspirowali się wzajemnie i wymieniali fachowe uwagi. Gestapo wiele nauczyło się od NKWD, które bez porównania lepiej było przygotowane do takich akcji eksterminacyjnych, mając doświadczenie wieloletnich prześladowań naszych rodaków w Związku Sowieckim; w latach 1937–1938 wymordowało przecież 200 tys. Polaków. Niemcy szybko dogonili swoich nauczycieli. Istnieje domniemanie, choć nie ma na to dowodów, że akcja AB była uzgodniona z Moskwą. Sowiecki program eksterminacji elit tym różnił się od niemieckiego, że Sowieci chcieli mieć trochę czasu na wyłuskanie spośród nich tych, którzy gotowi byli pójść na współpracę z nimi. Niemcy nie mieli tego problemu. Mogli od razu zabijać wszystkich, którzy stali na ich drodze. Masowe egzekucje na terenach podległych administracji niemieckiej rozpoczęły się już we wrześniu 1939 r. Eksterminacja polskich elit zaraz na początku wojny miała dla jednych i drugich ogromne znaczenie, bo to było „odcięcie głowy” podbitego narodowi.

R.T. – Niemcy już na początku okupacji odrzucili pojawiające się tu i ówdzie oferty kolaboracji. Sowieci przeciwnie – sami wystąpili z taką ofertą. Przede wszystkim liczyli na mniejszości narodowe, słabiej związane z polskim państwem. Proponowali też drogę awansu energicznym jednostkom z niewykształconej biedoty. Równocześnie przystąpili do niszczenia elit, likwidując je na miejscu lub wywożąc na stracenie. Przygarnęli tylko niektórych, ale to o nich było wtedy bardzo głośno. Bo trzeba było bardzo się zeszmacić, żeby zyskać zaufanie sowieckiej władzy. To doświadczenie z sowieckiej strefy okupacyjnej przydało się po wojnie: trochę literatów czy dziennikarzy w Lublinie czy Warszawie zachowywało się tak, jakby to był okupowany Lwów. Poziom zaprzaństwa był nieadekwatny do sytuacji, bo przecież nie chodziło już o pozwolenie na życie, tylko o nieco lepsze warunki i tak skromnej egzystencji.

B.P. – Po przechwyceniu przez komunistów władzy w Polsce w 1944 r. rozpoczęło się dobijanie resztek elit, które reprezentowały wszystko to, co wyrasta z imperatywu patriotyzmu. Zaatakowano „sanację” za przegraną 1939 r.

A.N. – Po pierwsze, działania komunistów determinowała doktryna, dlatego uderzyli w elity społeczne, nie tylko narodowe. Niszczyli zastany porządek i tworzyli sytuację chaosu, po czym miał nastąpić

narzucony przemocą zupełnie już inny porządek i hierarchia. Z drugiej strony, powszechne poczucie klęski we wrześniu 1939 r. rzeczywiście dawało komunistom atut, który oni świadomie i umiejętnie wykorzystali. Klęska wrześniowa była strasliwym szokiem dla bardzo wielu ludzi aspirujących do roli członków elity państwa polskiego – jak to, jesteście tacy wspaniali, o czym nas uczono w szkole, a przegrywamy w ten sposób? Tych parę miesięcy, jakie upłynęły do klęski Francji, kiedy okazało się że Francja runęła tak samo szybko, to nie był czas, żeby wyjść z tego stanu szoku. Po wojnie komuniści bardzo celnie naprowadzili swój aparat propagandowy właśnie na to dojmujące w Polakach poczucie klęski. Tamten świat wartości, tamten system zawalił się, nie sprawdził, zawiódł, więc kalendarz liczymy od 22 lipca 1944 r. (dosłownie tak proponował m.in. Andrzej Szczypiorski), dopiero teraz odradza się nowa Polska. Oczywiście, pomogło im także to, że tak wielu przedstawicieli tej przedwojennej elity zostało fizycznie eksterminowanych podczas II wojny światowej.

B.P. – Jaki był stan polskich elit zaraz po wojnie i jaką strategię wobec nich przyjęła komunistyczna władza.

A.N. – Komuniści gotowi byli przyjmować do swoich szeregów, do swojego projektu nowej sowieckiej Polski „wychodźców” z prawdziwych przedwojennych elit polskich. Pisał o tym Jacek Trznadel i wielu innych. Najbardziej znani są oczywiście literaci, Tadeusz Żeleński-Boy, Stanisław Jerzy Lec, Julian Strykowski, Leon Chwistek i inni. Niemcy nie mieli projektu nazistowskiej nowej Polski, nie potrzebowali zatem żadnych „wychodźców”, czyli polskich zdrajców. Niemcy takiej możliwości nie dawali i tym samym opór przeciw nim w czasie II wojny światowej był w pewnym sensie prostszy, bardziej oczywisty. Utrwał on tożsamość elit polskich, a nie fałszował jej tak, jak to tworzyła sytuacja zaaranżowana przez Sowietów.

R.T. – Założeniem komunistycznej władzy była wymiana elit – starych na nowe. Komuniści uważali, że stara elita z punktu widzenia przeprowadzanej rewolucji jest nieużyteczna. Ale problem polegał na tym, że w wielu sferach życia publicznego nie było kim jej zastąpić. Nie było kim zastąpić elit uniwersyteckich, literackich, artystycznych, urzędniczych, technicznych – bo brakowało ludzi z odpowiednią wiedzą i doświadczeniem. Może najłatwiej było zastąpić wojskowych, bo była kadra wyszkolona w Sowietach w latach 1943–1945. Tak więc przez jakiś czas trzeba było tolerować te stare elity i to właściwie w każdej sferze życia publicznego. Bardzo szybko powstał konflikt między tymi, którzy nie mieli jeszcze odpowiednich kompetencji, ale aspirowali do tego, żeby stać się nową elitą wyznającą idee komunistycznej rewolucji, a starą elitą, która często po prostu chciała przetrwać, w miarę możliwości unikając konfliktów. I to bardzo dobrze było widać np. na uczelniach, gdzie pojawili się młodzi, na swój sposób zdolni pracownicy aspirujący do przejęcia uniwersytetów i innych instytucji naukowych. No, ale jeszcze byli ci starzy – z wielkim dorobkiem, z warsztatem naukowym, tam, gdzie on przetrwał. I zaczęła się awantura – młodzi chcieli szybko zająć miejsca starych, ale jeszcze nie mieli wiedzy i możliwości, więc władza często musiała ich hamować, bo wiedziała, co będzie, jak znikną starzy profesorowie i uczeni.

A.N. – Państwo potrzebuje ludzi na stanowiskach. Zabrakło ludzi przygotowanych do tego, by je piastować, fachowców. Zostali wymordowani. Elitę urzędniczą zaczęli tworzyć ludzie nieprzygotowani, ale obdarzeni za to ideologicznym zaufaniem, co dzieje się na ogół w państwach marionetkowych. Likwidacja polskiej elity ułatwiła komunistom zadanie. Na przykład kursy im. Teodora Duracza w ciągu roku produkowały prawników nowej Rzeczypospolitej, takich jak Adam Humer.

B.P. – Gdyby naprawdę chodziło o odbudowę samodzielnego państwa, to można było zaczerpnąć z tych „zasobów ludzkich”, które stanowiła grupa Polaków wracających z Zachodu po wojennej tułaczce, czy tych, którzy ujawniali się z okupacyjnego podziemia. Ale to był „element niepewny”, przez nowe władze prześladowany, marginalizowany, pauperyzowany.

A.N. – Ludzie, którzy reprezentowali jakąkolwiek ciągłość, tradycję polską II RP, niekoniecznie utożsamiani ze skrzydłem piłsudczykowskim, w każdym przypadku byli traktowani jako podejrzani, a w bardzo dużej liczbie przypadków jako oskarżeni. W nowym państwie nazywanym Polską byli zatem pozbawieni możliwości pracy odpowiadającej ich kwalifikacjom. Jest wiele tego przykładów, począwszy od wojskowych wracających do Polski z Zachodu; repatriacja objęła przecież 120 tys. żołnierzy i oficerów. Zwłaszcza ci wyższych szarż niemal wszyscy byli tak czy inaczej prześladowani w następnych latach; nawet ci, których na chwilę przyjęto do wojska, i ci, którzy mieli szczerą intencję służenia nowym komunistycznym państwem, nie chcieli ich zdradzać. Władze uznały, że za bardzo byli przesiąknięci obcą

jej kulturą i tradycją. Oczywiście były przypadki – jak to ładnie po rosyjsku się określa – „swadiebnych gienierałów”. Bierut chętnie pokazywał gen. Juliusza Rómmla, który miał piękne wąsy i lubił występować z szablą. Takich ludzi trzymano, ale wyłącznie w roli nadwornych błaznów.

R.T. – Wbrew oczekiwaniom polskich komunistów, Polska nie stała się sowiecką republiką. Instytucje, które działały przed wojną, zostały odtworzone w latach 1945–1947. Trudno było potem np. zamknąć uniwersytety z tej przyczyny, że nie było jeszcze nowej kadry. Przez jakiś czas tolerowano więc starą, która wegetowała na marginesie życia publicznego i powoli odchodziła. Oczywiście, niektórych zamknięto w więzieniach czy w końcu wyrzucono z pracy. Byli profesorowie, którzy w różny sposób narazili się nowej władzy, bo jawnie ją kontestowali bądź uczestniczyli w podziemnych przedsięwzięciach. Ich zwalczano, natomiast pozostałych ograniczano w ich możliwości wpływania na losy uczelni, usuwano z władz uczelnianych, pomniejszano ich pole działania, niektórym odbierano kontakt ze studentami, pozwalając jedynie coś tam dłużyć w swojej dziedzinie nauki. Tak było właściwie przez cały okres stalinizmu, ale nawet po 1956 r. wciąż jeszcze trwali ludzie, których z pewnością nowa władza nie akceptowała, chciała się ich pozbyć, ale nie miała kim ich zastąpić. Ostatecznie ta grupa odchodzi w latach sześćdziesiątych – jedni umierają, inni odchodzą na emeryturę. Uczelnie przejmuje „pokolenie rewolucji”, wychowane na nowych ideach, nauczone serwilizmu wobec władzy, bezwzględnie posłuszne. Z życia publicznego zniknęły też dwie kategorie zawodowe, przed wojną współtworzące klasycyństwo rozumianą elitę: oficerowie (znacznie wcześniej) i prawnicy (nieco później); wśród tych drugich chlubne wyjątki zdarzały się wśród adwokatów.

B.P. – **Może warto powiedzieć o tym, jak zachowała się inteligencja twórcza, myślę tu o pisarzach starszej generacji, takich jak Putrament, Iwazkiewicz, Andrzejewski. Nie tylko weszli w romans z komunistami, ale stali się narzędziem ich propagandy, opluwającej „starą Polskę” i wszystkie najwznioślejsze jej ideały. I byli za to sowicie wynagradzani.**

A.N. – Już Lenin doceniał fundamentalne znaczenie elit kulturalnych w budowie komunistycznego państwa.

B.P. – **Nowych elit, bo o „starych” inteligentach mówił, że jak najszybciej „trzeba pozbyć się tego gówna”.**

A.N. – Jako fundator modelu sowieckiego wiedział, że najbardziej potrzebni są w pierwszej kolejności właśnie „robotnicy słowa” i „inżynierowie dusz” (to już określenie Stalina). Bierut i jego ekipa przejęła ten socjotechnicznie perfekcyjny wzorzec, że najpierw trzeba wymienić głowę, wtedy reszta ciała będzie poruszała się tak, jak będzie wynikało to z interesu komunistycznej władzy. Ruch wykonany przez komunistów niezwykle się opłacił. Przejęto nie tylko tych, których pani wymieniła, ale i Juliana Przybosa, który powędrował na stanowisko ambasadora w Szwajcarii, czy Czesława Miłosza, który służył temu systemowi bardzo wiernie i brutalnie jednocześnie – w oskarżeniach przeciw Armii Krajowej i przede wszystkim we wzmacnianiu tego poczucia, że jest tu jakiś fatalizm historyczny, że nie ma odwrotu. Albo wybieramy służbę tej władzy, która ma za sobą postęp, reprezentuje Historię, albo jesteśmy przez samą Historię „rozwalcowani”. Opór nie jest heroiczny – według tej tezy, którą podtrzymywał w owych latach Miłosz – ale jest tylko głupi. Ten mechanizm, którego sam był częścią do 1952 r., Miłosz ładnie potem opisał w *Zniewolonym umyśle*.

Spółczesność zawsze zwraca uwagę na swoje elity. Nawet jeśli je traktuje początkowo jako nie swoje. Ale wszyscy przedstawiciele elit, którzy nie idą na współpracę, podlegają eliminacji. Dobrego przykładu dostarczają nam losy z jednej strony „Tygodnika Warszawskiego”, z drugiej „Tygodnika Powszechnego”. W ten sposób pozostaje tylko elita tak czy inaczej współpracująca z reżimem.

R.T. – Niektórzy otwarcie zdradzili i przeszli na stronę zwycięzców. Oni, przynajmniej w pierwszych latach po wojnie, objęci byli pewnym społecznym ostracyzmem. Ale byli też tacy (i to zarówno twórcy, pisarze, poeci, jak i uczeni, aktywni w swoich dziedzinach przed wojną i jeszcze w czasie wojny), którzy powiedzieli – nie chcemy mieć z tym nic wspólnego. I oni zniknęli, w tym nowym rozdaniu nie zostawili po sobie śladu.

No i byli tacy, którzy próbowali się przystosować, jakoś trwali. Próbowali coś pisać, wydawać, kombinując tak, żeby nie zdradzić otwarcie, a jednocześnie zyskać uznanie nowej władzy. Wielu z nich potem, po 1956 r., odżyło. Przetrwali ten najgorszy okres i mogli znowu studentom mówić

rzeczy ważne i źle widziane przez reżim, mogli pisać na granicy drukowalności, jakoś tam handrycząc się z cenzurą. Zachowali nazwiska i warsztaty, przetrzymali stalinizm. Natomiast ci niezłomni już nie wrócili, te dziesięć lat wymazało ich z przestrzeni publicznej. Nikt już tym uczonym nie oddał katedr ani nie zaczął drukować zapomnianych poetów czy pisarzy. A więc szanse zostania „rewizjonistą” – jak wtedy mówiono – w kulturze i nauce najczęściej mieli ci, którzy umieli w czasach stalinowskich jakoś zaaklimatyzować się, przetrwać, nie znikając całkowicie z oficjalnego życia. Taka niesprawiedliwość losu.

Oczywiście, niektórzy zdradzili cynicznie, a nawet byli i tacy, którzy uwierzyli w misję nowych ludzi, przybyłych z Sowietami. A władza bardzo zręcznie umiała kupić tych, którzy w różny sposób byli wariaci tego, żeby ich kupić. To było bardzo wyraźne już w latach pięćdziesiątych, a jeszcze bardziej rzucano się w oczy w latach sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych. Znalezienie się w tej nowej, licencjonowanej przez reżim elicie – artystycznej, literackiej, naukowej – dawało istotne przywileje w stosunku do reszty społeczeństwa: wysokie wynagrodzenia, możliwość życia na zupełnie innym poziomie, jeżeli chodzi np. o mieszkania czy sposób spędzania wakacji. A potem dawało także coś, co było kąskiem najlepszym, czyli możliwość wyjazdów zagranicznych – przez moment tak było w latach 1956–1957, wtedy trochę ludzi wyjechało, trochę zobaczyli świata, ale ta szczelina dla wybranych powiększyła się w latach sześćdziesiątych. Wtedy możliwość wyjazdu była mocno reglamentowana, więc bytło to prezent bardzo pożądany. Z różnych powodów. Nie tylko dlatego, że można było poznać coś innego niż wszyscy wokół, ale można było też na tym coś zyskać, nie tylko zresztą w sensie materialnym.

B.P. – Te gratyfikacje materialne dla najwierniejszych były nie do pogardzenia. Niepokornych, czy „sceptycznych”, jeśli nie wyeliminowano wcześniej fizycznie, sprowadzono do poziomu właściwie nędzy bytowej, finansowej, mieszkaniowej. Także tych, których przedwojenny status majątkowy był wysoki. Elity tworzone są niekoniecznie przez ludzi majątnych, ale trudno być kimkolwiek, jeśli nie ma się pracy czy mieszkania. A tak żyło po wojnie bardzo wielu ludzi nie-obojętnych społecznie, wykształconych. I nieprzejednanych.

A.N. – Bardzo niski poziom materialny życia w czasach stalinowskich sprawiał, że nie było cienia szans na pojawienie się chociażby namiastki elity alternatywnej, równoległej, podziemnej. Pod tym względem sytuacja zmieniła się w latach sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych, kiedy można już było mieć jakiś wolny czas, zelżał też najbrutalniejszy terror polityczny i można było tworzyć sobie własne „życie równoległe”, mogły pojawić się alternatywne elity, których nie wypychano natychmiast do więzienia.

R.T. – To można prześledzić na przykładzie resztek środowisk przed wojną zajmujących się aktywnie polityką. Byli tacy ludzie, jak np. w ruchu ludowym Stanisław Mierzwa, współpracownik Wincentego Witosa, sądzony w Procesie Szesnastu itd., potem zamknięty na wiele lat w więzieniu. Po wyjściu z niego w gronie garstki starych znajomych próbował odtworzyć jakąś tkankę tego, w co wierzył, czyli ruchu ludowego. I tak dotrwał prawie do końca peerelu, gromadząc wokół siebie kilkadziesiąt osób, które odgrywały jakąś bardzo niewielką rolę polityczną, ale założyły muzeum Witosa w Wierchosławicach. I tyle właściwie. W latach siedemdziesiątych tacy ludzie nie byli już do niczego potrzebni, bo przyszli inni, jawnie opozycyjni, którzy zresztą nieufnie patrzyli na Mierzwę, bo on nie wierzył w KOR, odrzucał kontakty z nową opozycją końca lat siedemdziesiątych, uważając, że to są byli komuniści, którym nie można ufać. Wtedy tacy jak on uciekali w zewnętrzną lub wewnętrzną emigrację.

A.N. – Konsekwencją procesu wytwarzania się nowej elity komunistycznej było to, że całe społeczeństwo stopniowo ulegało skarleniu. Dam przykład, by wyjaśnić, o co mi chodzi. Bezpieka zajmowała się także badaniem nastrojów, z jej materiałów możemy dowiedzieć się, jakie były nastroje i stopień akceptacji komunizmu w poszczególnych latach. Wydawałoby się, że akceptacja komunizmu powinna być największa w latach pięćdziesiątych, najgorszych latach stalinowskiego terroru – to z jednej strony, a z drugiej – entuzjazmu różnych masówek oraz nacisku ideologicznego. Otóż nie. Akceptacja systemu powiększała się z każdym rokiem peerelu. To stopniowe skarlenie społeczeństwa zaczęło się jednak od elit. Komuniści to właśnie wiedzieli, że najpierw trzeba zniszczyć i skarcić elitę, żeby za nią w naturalny sposób poszła reszta społeczeństwa. Na przykład Maria Dąbrowska pisze bardzo ważne szkice o Conradzie, przeciwstawiając się napaści na etos Armii Krajowej, ale, być może, ważniejsze jest to, że pokazuje się z Bierutem i robi

sobie z nim zdjęcia. Większość ludzi nie czytała jej szkiców o Conradzie, ale wiedziała, że Dąbrowska to bardzo ważna pisarka, z przedwojennej elity. I okazało się, że ona jest obok Bieruta – no, to może trzeba się z tym systemem pogodzić, skoro Dąbrowska i Iwaszkiewicz są obok Bieruta. Tak najprościej przedstawiłbym ten mechanizm korumpowania elit i korumpowania elitami. I chociaż za honoraria można było sobie kupić dom, ale np. nie można było zdobyć lekarstw. Dąbrowska musiała o nie zebrać u Jerzego Stempowskiego (który *de facto* w Szwajcarii był nędzarzem). Więc owszem – dom i samochód, a jednocześnie daleko posunięta zależność od tego systemu, w tym materialna.

R.T. – Polacy po 1956 r. doszli do wniosku, że komunizm jest czymś trwałym. Dopóki trwał stalinizm, to on był na tyle szalony, na tyle niezrozumiały, nieracjonalny, straszny i obcy, że wciąż łudzono się, że wreszcie się skończy i nastąpi wyzwolenie; wciąż żywe były też nadzieje na wojnę światową. Ale po śmierci Stalina nic się nie stało. Komunizm przetrwał, troszkę się zmodyfikował i zrationalizował, troszkę się ucivilizował i złagodniał. Można było sądzić, że to koniec zmian. Polacy uznali, że jest już trochę lepiej od tego, co szczęśliwie minęło, więc do nowej rzeczywistości trzeba się po prostu przystosować. Ci, którzy przyjechali ze wschodu i mieszkali na walizkach, bo zajęli poniemieckie domy i wciąż patrzyli, czy nie wracają Niemcy, doszli do wniosku, że te walizki trzeba już wynieść do piwnicy i jakoś zacząć się urządzać. A urządzenie się oznaczało, że wszystko, co było wcześniej, jest już tylko nostalgicznym wspomnieniem. Polacy przyjęli do wiadomości tę rzeczywistość. Wyrzucali na śmietnik stare meble i kupowali meblówki, żeby „zmodernizować” swoje życie.

B.P. – **A jednak w latach siedemdziesiątych ujawniła się opozycja wobec systemu, różnych orientacji i oblicza ideowego. Czyimi wobec tego dziećmi byli i są ci, dla których ważne są sprawy suwerennej Polski, jej narodowej kultury i niezafałszowanej historii?**

R.T. – Ten rodem z II RP kod kulturowy jakoś się przechował, to jasne. Ale on w pewnym momencie został zerwany. Przechował się w stosunkowo wąskich środowiskach, w kręgach rodzinnych, także na emigracji. Ale z tego właściwie nic nie wynikało, poza książkami i gazetami, które przeniknęły tu z Zachodu w latach siedemdziesiątych, a które bez wątpienia były produktem przedwojennej polskiej kultury. Jak się przyjeżdżało w latach siedemdziesiątych do Londynu, to miało się takie wrażenie, że się przyjechało do Polski z roku 1938. Do czegoś, co znało się trochę z historii i wspomnień rodziców. Ale to istniało daleko od Polski i nie tu, lecz wśród Polaków w Londynie były te wszystkie instytucje, tradycje, tytuły, konwenanse. A w Polsce z tego przedwojennego świata udało się przenieść czy przechować w sensie dosłownym bardzo niewiele. Niezłomni żyli ze sprzedaży książek i obrazów, jeśli one przetrwały wojnę. Ale książki np. w latach sześćdziesiątych były bardzo tanie i trudno było za to przeżyć. Jeszcze przez jakiś czas uczeni czy twórcy przeżywali koszmar „dogęszczania” mieszkaniowego. Stare profesorskie mieszkania zmieniały się w kołchozy zasiedlane przez przybyszów z prowincji czy z nizin społecznych, których dokwaterowywano. Ale nieco później przedstawiciele nowych elit stali się nagle niemal kreuzsami. Uczonym powodziło się świetnie, w porównaniu z resztą społeczeństwa. Literaci to w ogóle była elita finansowa. Można było za darmo pojechać do domów pracy twórczej w Kazimierzu nad Wisłą, w Zakopanem, w Oborach pod Warszawą, na miesiąc czy dwa miesiące i pisać książkę albo wiersze. Instytucje naukowe miały swoje ośrodki wczasowe, gdzie celebrowało się naukowe tytuły i tę nową hierarchię świata nauki. W warunkach panującej wokół szarej i zgrzebnej rzeczywistości można było czuć się niesłychanie wyróżnionym. Standard życia tej akceptowanej przez reżim elity bardzo się poprawił, więc znaleźć się w niej to była wielka gratka. Gazety płaciły świetne pieniądze, a radio, potem telewizja płaciły jeszcze lepiej. Jeśli chodzi o książki, wydawano każdy bzdet w ogromnych nakładach; to nic, że część tych książek szła potem na przemiał, honoraria się dostawało.

B.P. – **Dziś parotysięczny nakład każdej książki, także naukowej, jest wielkim sukcesem.**

R.T. – Praktycznie nie dostaje się za nią pieniędzy, wręcz trzeba się starać, by je zdobyć na jej wydanie. Wszystko to wtedy brało na siebie państwo. I jeszcze dobrze płaciło, nagradzało, dawało różne ulgi, przywileje, talony. Wszystko to w mniejszym stopniu dotyczyło urzędników, a jeżeli już, to urzędników pewnej tylko kategorii. Jednocześnie nastąpiło straszliwe spauperyzowanie niektórych zawodów, np. nauczycieli, którzy przed wojną byli bardzo dobrze wynagradzani, a w peerelu znaleźli się na samym dnie. W latach sześćdziesiątych pojawiły się jeszcze i takie paradoksy, że portierzy czy sprzątaczkę zarabiali więcej niż adiunkci na uczelniach. Z tym że jak się przekroczyło pewien poziom zawodowej

hierarchii, to sytuacja się zmieniała, więc warto było męczyć się te dziesięć lat w biedzie, żeby potem awansować. Gwarancją awansu było spełnienie wymagań, które stawiała partia komunistyczna.

B.P. – Wyjaśnia to opór środowisk naukowych wobec lustracji.

R.T. – Władza bardzo bała się dwóch kategorii zawodowych, dwóch grup społecznych: robotników dużych zakładów – czyli tak zwanych mas – i studentów. Nie bała się oczywiście pracowników naukowych. Reżim nigdy nie bał się protestów, petycji, manifestacji w auli uniwersyteckiej, zebrania, na którym ktoś próbuje coś wyjaśniać czy omawiać. Władza bała się tylko ulicy, czyli sytuacji, kiedy tłum na zasadzie kuli śniegowej przekroczy masę krytyczną, a wojsko albo milicja odmówi strzelania. To byłby koniec tej władzy, jak to się stało na Węgrzech w 1956 r. Czytałem wspomnienia Mariana Orzechowskiego wydane już po 1989 r., gdzie pisał, że po 1956 r. śnili mu się węgierscy awosze (funkcjonariusze bezpieki) wiszący na latarniach w Budapeszcie, takie zdjęcie widział w jakimś tygodniku. Oni się tego bali. Nawet strajków się nie bali, tylko walk ulicznych. Dlatego uczelnie i w ogóle inteligencja były obiektem bardzo intensywnej infiltracji. Od inżyniera pracującego w hucie można było uzyskać znacznie więcej informacji niż od trzech czy czterech „pozyskanych” robotników, którzy oczywiście mogli coś powiedzieć o swoim najbliższym otoczeniu, ale ich możliwości obserwacji w całym zakładzie były ograniczone. Ktoś po studiach z pewnym rozeznanie politycznym był znacznie cenniejszym informatorem. Dotyczyło to także wyższych uczelni i instytucji kulturalnych.

A z drugiej strony było takie dość powszechne przekonanie w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, że reżim jest stabilny, nie zniknie, w perspektywie ludzkiego życia nic się nie zmieni, więc opieranie się współpracy nie ma sensu, tym bardziej że bezpieka dawała do zrozumienia, że nic się przed nią nie ukryje. Rozległa i gęsta siatka agentury miała służyć umacnianiu przekonania, że „oni i tak wszystko wiedzą”, a więc to, czy ja będę im mówić o Kowalskim, którego dobrze znam, że on słucha Wolnej Europy, nie ma znaczenia, bo albo to już wiedzą, albo dowiedzą się skądinąd. Bezpieka żądała współpracy od tych, którzy chcieli wyjechać, awansować, dostać lepsze mieszkanie albo mieć poczucie bezpieczeństwa osobistego i swoich najbliższych. Oczywiście, niektórzy dostawali po prostu pieniądze. Dla bezpieki wynagradzanie za donosy było dodatkowym sposobem zeszmacenia informatora, co zawsze było pozytywne. W latach osiemdziesiątych takie zeszmacenie było celem pozyskiwania znacznej części agentury. Taka ilość informacji nie była już potrzebna bezpiece, która zresztą nie miała możliwości technicznych, żeby je wszystkie opracować i wykorzystać. Chodziło o to, żeby ubłocić ludzi, żeby zawsze można im było coś nieprzyjemnego przypomnieć. To, w pewnym sensie, byli tacy uśpieni konfidenci, a ich informacje w gruncie rzeczy nie miały znaczenia. Sądzę, że w latach osiemdziesiątych ci, którzy rzeczywiście mieli coś do powiedzenia bezpiece, których informacje były operacyjnie pozytywne, stanowili ok. 20 proc. (ze 100 tys. zarejestrowanych – oczywiście, nie licząc służb wojskowych i sowieckich, o których ciągle zapominamy, bo przecież była tu agentura KGB, o której nic nie wiemy). Jeżeli więc oni wszystko wiedzą, wszędzie są, zatem odmawianie im nie ma żadnego sensu, można tylko starać się zachować w miarę przyzwoicie i biorąc udział w tej grze, nie mówić wszystkiego.

B.P. – Gdzie podziały się kategorie moralne?

R.T. – Takie to były czasy. Milicjant czy funkcjonariusz bezpieki wywoził dziecko do małego miasteczka, żeby je ochrzcić, bo to było zabronione. A adiunktowi na uczelni czy początkującemu dziennikarzowi bezpieka mówiła: panie, jak pan chce rozwijać się w swojej dziedzinie, to musi się pan z nami spotkać i opowiedzieć, „co tam słyszczyć”. Więcej od pana nie oczekujemy, a za to będzie panu łatwiej. Jeżeli taką grę prowadzili niektórzy duchowni, to czegoż oczekiwać od reszty?

Zaraz po wojnie, gdy ludzie wracali do Polski, też była taka trochę szizofreniczna atmosfera przyzwolenia na współpracę z nową władzą, w zgodzie z ideą „zachowania substancji”, którą proponował Kościół. Znani z przedwojennych czasów ludzie pisali w gazetach, że dość krwi, dość strat, trzeba ratować naród. To była np. filozofia PAX, ale było też wiele mniejszych środowisk, które propagowały ideę pracy organicznej. To przecież Kazimierz Wierzyński w pięknym wierszu *Nocna ojczyzna* napisał „Dla sensu nad klęską / wszystkimu na przekór / budować co można / co zbudowane / to nasze”, w którym usprawiedliwiał działania na rzecz odbudowy Polski. Idea ratowania substancji i odbudowania tego, co jest możliwe do odbudowania, usprawiedliwiała też różne grzeszki i kompromisy, łącznie ze wstąpieniem do organizacji, której poglądów się nie podzielano, chociaż niekoniecznie musiało to być od razu ORMO.

A z drugiej strony przez wszystkie te lata, na najniższym poziomie kontaktów między ludźmi, istniało przekonanie, że poufne rozmowy z UB i SB to jest jednak coś obrzydliwego i naganego. Władza więc starała się zapewnić tym ludziom „komfort” nieujawniania ich współpracy, nieafiszowania się z nią. To byli często ci bezpartyjni, o których mówiło się z szacunkiem „on nie zapisał się do partii”, którzy jednak spotykali się z funkcjonariuszami bezpieki, w gruncie rzeczy funkcjonowali tak jak członkowie partii, a wręcz nawet konfidenci. Dzisiaj często się słyszy takie tłumaczenie, że „ja nie wiedziałem, że to jest coś złego”, że to było takie normalne, trzeba rozmawiać; jak człowiek zadzwoni, to trzeba przyjść do tej umówionej kawiarni. Niemniej w potocznym przekonaniu taki kontakt był świństwem, tylko że po pierwsze, można było liczyć na dyskrecję, a po drugie, wokół pełno było tłumaczeń, że to świństwo jest dopuszczalne dla wyższych celów.

B.P. – Jak panowie oceniają stan dzisiejszych elit?

A.N. – Na proces wychowania ogromny wpływ ma szkoła i otoczek pozaszkolny. Nie inaczej jest w III RP. Jej wychowanie młodzieży jest odwrótnością wychowania w II RP – lekceważenie polskości, krytyka polskości. Nie wolno lekceważyć skutków tego wychowania. Wychowano dwadzieścia roczników, które opuściły polskie szkoły. Tak jak II RP wykonała ogromną pracę wychowawczą, dla której ideałem była wizja Polski Piłsudskiego, tak III RP także wykonała ogromną pracę wychowawczą, której wzorcem ideowym jest „Gazeta Wyborcza”. Wzorce ideowe mają ogromne znaczenie dla konstruowania elity. Jedna elita skupiała się na polskości, widziała w niej wielkie, wspaniałe zadanie; symbolem tej elity jest Karol Wojtyła i jego poczucie wielkości powołania, jakie tkwi w polskości. Symbolem drugiej elity, tej wychowanej w III RP w duchu oderwania od polskości i przeciwstawiania się polskości, jest dla mnie Kuba Wojewódzki.

B.P. – Nie tylko w oderwaniu i przeciwstawianiu się, ale i w pogardzie.

A.N. – I w tym właśnie III RP nawiązała do peerelu z lat 1944–1948, 1950. To znakomicie pokazała w „Arcanach” Janina Hera – zebrała ona cytaty z instrukcji cenzorskich z tego okresu, które są jakby żywcem wyjęte z dzisiejszych najbardziej „postępowych” gazet i pokazują, jak opluwać polskość, jak niszczyć wszystko, co wartościowe w polskiej tradycji, jak – użyję slangu socjologicznego – zaniżyć samoocenę Polaków. To było najważniejsze w tych instrukcjach.

A jednak Polskę i polskość jest bardzo trudno zabić. Do tej pory nikomu się to nie udało. Przykładem jest chociażby atrakcyjność słów i postawy Jarosława Marka Rymkiewicza. Można się z nim nie zgadzać, ale przecież widać, z jakim zachwytem ludzie przyjmują ten najprostszy komunikat, w którym on przypomina, że Polska jest wielka i wspaniała, o wiele wspanialsza od tych robaków, które próbują ją toczyć. To poczucie wielkości Polski wydaje mi się najważniejsze, żeby przetrwała elita, żeby tych „dziesięciu sprawiedliwych” zrobiło swoje. Dlatego tak ważny wydaje mi się romantyczny, wysoki ideał polskości. Nie przeciwstawiam temu służby Polsce i pilnowania interesów tej substancji, o której nieco szyderczo pisał Zbigniew Herbert, ale uważam, że ważniejsze jest to, co w tej mierze reprezentuje Piłsudski i tradycja romantyczna. Dla elit i dla przetrwania Polski.

R.T. – Polska szkoła coraz gorzej kształci i już nie wychowuje. Godzi się na to większość i nauczycieli, i rodziców. Polskie uczelnie zajmują się produkcją absolwentów i najczęściej nic więcej ich nie obchodzi. Media propagują model przyjemnego życia – bez zmartwień, ale i bez refleksji. Poza tym wiedzą starają się uprościć swój przekaz do najniższego poziomu odbiorców. Kościół stroni od bezpośredniego kontaktu z wiernymi, którzy muszą zadowolić się oficjalną celebrą. Państwo wzrusza ramionami wobec problemów obywateli i zajmuje się samo sobą. Wojsko – które niegdyś było ważną instytucją wychowawczą – upodobniło się do firm ochroniarskich i zanim podejmie się cegokolwiek bronić, zapyta, ile za to dostanie.

To wszystko nie jest już tylko spuścizną komunizmu. Ponad dwadzieścia lat ma III RP – to więcej niż jej poprzedniczka. Zapaść kulturowa, która nam towarzyszy, nie minie w rezultacie wysiłków garstki zapaleńców. Wolność ma swoją wymierną cenę – najczęściej jest nią cena krwi. Życie dla przyjemności któregoś dnia może okazać się życiem w klatce. Chyba że wcześniej jakiś kataklizm uświadomi nam powagę sytuacji.